Nr. 169.

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 19. Czerwca 1898.

Ideały życiowe.

XXX.

Powiedzieliśmy w I części, że — ideał szczęścia jest najbardziej przez ludzi pożądanym i że szczęście polega na zmianach korzystnych, prowadzących do doskonałości.

Ażeby jeszcze bardziej wyjaśnić kwestyę, powiedzmy, że szczęście polega na rozwoju i potęgowaniu się życia. Wszystko co powiększa, co rozszerza życie, co urozmaica, co kojarzy życie z jak największą liczbą otaczających go zjawisk, wszystko to jest warunkiem szczęścia dla człowieka i społeczeństwa.

Według przeciętnej opinii szczęście polega na uczuciu zadowolenia, ba! nawet rozkoszy. Ale jest to miara złudna. Tytoń, alkohol, morfina, gry hazardowe, rozmaite formy rozpusty — wywołują bardzo silne wzruszenia, a jednak w rezultacie są nieszczęściem gdyż — zmniejszają życiowe siły...

Nie unikajmy wzruszeń, ale baczmy, ażeby nie stały się drogą do ruiny. Najwyższym bowiem celem życia nie jest — wzruszenie, lecz — doskonałość.

Zastosujmy powyższe uwagi do społeczeństwa.

Co to znaczy: Społeczeństwo szczęśliwe? Czy będzie niem to, w którem kipi jak najwięcej wzruszeń?... W takim razie najszczęśliwszymi byliby... murzyni: oni bowiem najłatwiej ulegają zbiorowym uniesieniom — radości, podziwu, dumy, miłości, nienawiści,..

Zbiorowe, byle szlachetne wzruszenia są pożyteczne, nawet konieczne; dlatego też mamy świątynie, procesye, rozmaite widowiska. Ale wszystko to musi być ujęte w pewne karby, ażeby broń Boże, nie wskrzesiło się rzymskie hasło z doby upadku: „chleba i igrzysk!“

Gromady ludzkie powinny wspólnie bawić się, cieszyć, podziwiać, nawet płakać; są to bowiem wzruszenia szlachetne. Ale biada narodom, w których masy wspólnie uczą się nienawiści, niemiłosierdzia, pogardy i t. d. uczuć, które prowadzą do zdziczenia. Morderstwa w rzymskich cyrkach, palenie kacerzy w Hiszpanii, rozmaite juden — i polenhece, nie tylko dla tego są złe, że robiły lub robią krzywdę chrześcijanom, maurom, żydom, Polakom, ale — że zatruwają i upadlają duszę ludu, w którym budzą anty-społeczne instynkta.

W człowieku ciągle jeszcze drzemie najdrapieżniejsze ze zwierząt, które cywilizacya w ciężkiej wiekowej pracy usiłuje uśpić i ułagodzić. Tymczasem niekiedy jeden dzień wystarczy do zburzenia cywilizacyjnych wysiłków, do wskrzeszenia w człowieku zwierzęcia, tem gorszego od najokrutniejszych, że łatwo wścieka się, a mimo to zachowuje rozum, aby szkodzić...

Szczęście zatem społeczne na zewnątrz objawia się umiarkowanemi i szlachetnemi uczuciami zbiorowemi. Ale rdzeniem jego nie są uczucia, lecz — rozwój, spotęgowanie życia.

Gdy rozradza się ludność, gdy jednostki mniej chorują, a dłużej żyją, gdy wzmaga się praca, oświata, zacne uczucia, dobrobyt i bezpieczeństwo, gdy tworzą się coraz nowe specyalności w zajęciach naukowych i technicznych, gdy mnożą się charaktery dzielne i oryginalne, gdy nareszcie rozszerza się i pogłębia miłość bliźniego, wówczas dopiero można powiedzieć, że „potęguje się życie społeczne“.

To potęgowanie się życia musi ogarniać — wszystkie wyznania, klasy, rasy, spółki i instytucye, jeżeli społeczeństwo ma być szczęśliwem naprawdę.

Nietylko inteligencya, ale i prostacy, nietylko bogaci ale i mniej zamożni, nietylko chrześcijanie, lecz i niechrześcijanie powinni: rozrastać się, doskonalić się i uszlachetniać. Inaczej społeczeństwo będzie rozwijało się niewspółmiernie, czyli — będzie chorem...

Ale kto to wszystko ma zrobić? Kto jest powołany do pracy nad szczęściem społeczeństwa?... Tylko ono samo!.. Świat znajduje się jeszcze na tym szczeblu cywilizacyi, że ludzie raczej zazdroszczą bliźnim, aniżeli cieszą się z ich postępów; raczej wyzyskują tego, komu się powodzi, aniżeli wspierają tego, kto jest nieszczęśliwy. Każde więc społeczeństwo nietylko musi liczyć na własne siły nietylko wszystko musi zdobywać ciężką pracą, ale jeszcze musi — jakby opłacać się innym za to... że pracuje nad sobą i że mu się jako tako powodzi!...

My Polacy mamy szpetną wadę, z której jak najprędzej trzeba się wyleczyć. U nas — syn i wnuk szlachcica i bogacza wciąż myśli, że ma jakieś specyalne przywileje w społeczeństwie, że ma prawo być bogatym, choćby dokoła niego żyli sami nędzarze. Ten sam błąd tkwi w całem społeczeństwie, które wyobraża sobie, że świat jest jego dłużnikiem i że ponieważ Polacy jakiś czas bronili chrześciaństwa, więc — z tego powodu na wieki wieków muszą posiadać jakieś przywileje...

Inni pracują, zdobywają, suszą sobie mózgi, targują się, umawiają, płacą... a ty Polaku tylko korzystaj ze swych przywilejów, które przodkowie zdobyli pod Wiedniem lub Somosierą!...

Ocknijcie się ludzie zahipnotyzowani... Na świecie nie ma żadnego przywileju, a wy tembardziej nie posiada ie żadnego. Światem rządzi prawo, że „najużyteczniejsi i najdoskonalsi przetrwają słabych i niedoskonałych“, więc i wy nieustannie musicie starać się o siły i doskonałość. Musicie pracować jak inni, suszyć mózgi jak inni, umawiać się i za wszystko płacić jak inni, jeżeli nie drożej aniżeli inni.

Życie to wyścig. Kto choć na chwilę zatrzyma się, sądząc, że przeszedł bardzo wiele i że należy mu się wypoczynek, ten zostanie bez miłosierdzia wyprzedzonym. Musimy zatem ciągle iść naprzód, nie tylko na własnych nogach, bez żadnego poparcia, ale jeszcze — musimy dźwigać dodatkowe ciężary. Biada tym którzy padną zmęczeni!... Każdy naród jest Robinsonem na wyspie. Gdy sam nie wyrobi sobie warunków bytu, musi zginąć.

Niepokonana energia w pracy, głęboka mądrość, niezachwiany porządek, oto zalety, które społeczeństwom dają możność potęgowania sił życiowych, dają im prawo do istnienia czyli — do szczęścia. Kto chce bawić się, odpoczywać albo wzdychać, niech odrazu idzie do szlachtuza... Swiat należy tylko do dzielnych ludzi; dla niedołęgów nie ma na nim miejsca, a gdyby nawet było jeszcze jakie, to wkrótce go zabraknie... Jest już bowiem coraz trudniej nietylko o chleb, ale nawet o powietrze!...

Wiem ja, że słowa te brzmią twardo dla ludzi, u których piękny wiersz albo muzyczna kompozycya znaczy tyle, co wygrana bitwa, a bez porównania więcej aniżeli porządny sklep lub warstat. Ale ja nie dla nich piszę te uwagi, nie dla tych u których największym wynalazkiem jest nowa suknia, najważniejszym aktem społecznym — bal albo wyścigi, a najwyższym celem życia... pozyskanie miłości jakiejś „pięknej i niewinnej dziewicy...“

Piszę dla tych, ktorzy już rozumieją, że naród sam musi budować swoją przyszłość, a tylko szukają najogólniejszego planu tej budowy.

W duszy ludzkiej tkwi instynktowy pociąg do szczęścia i to w postaci przyjemnych wzruszeń. Jest to niby prąd rzeki, który każdą łódkę pcha do odpoczynków, radości, nawet do rozkosznych uniesień.

Otóż na tym prądzie nie dojeżdża się ani do doskonałości, która jest celem świata, ani do społecznego szczęścia.

Wydobyć się z prądu osobistych zadowoleń nie możemy i nawet nie byłoby to korzystne. Ale musimy i możemy zrobić coś innego. Oto ster naszej łódki ciągle zwracać w kierunku Użyteczności... Nie uwolni nas to od wzruszeń, lecz — zabezpieczy od zgubnej jednostronności.

Dopiero wtedy nasza łódka pójdzie w kierunku przynajmniej pośrednim między egoistycznemi zadowoleniami i — ogólnem szczęściem.

Bolesław Prus.

Z nowych wydawnictw.

(Pepłowski Schnür Stanisław: Adam Mickiewicz (1798—1855) 8-ka str. 75, Lwów, 1898).

Rok jubileuszowy urodzin naszego wieszcza zaznaczył się w Polsce całej szeregiem nietylko uroczystości, pomników — ale i kilku poważniejszemi publikacyami o życiu, działalności i znaczeniu poezyi Adama Mickiewicza. To żywe zainteresowanie się nie już wyższej tylko i wykształconej sfery społeczeństwa ale ogółu całego pierwszym z polskich poetów pobudziło też do napisania przystępnie i popularnie życiorysu jego, któryby nie miał pretensyi do wyczerpujących studyów a przecież dawał zwykłemu śmiertelnikowi pojęcie o żywocie, losach i literackiej spuściźnie nieśmiertelnego Adama. Wśród tych właśnie — a dodajmy licznych wydawnictw — korzystnie odznacza się książka p. Pepłowskiego, jaką również złożyć pragnął pamięci wieszcza.

Autor treściwie ale dość szczegółowo przytem opowiada koleje życia Adama, a wplata w tę całość tyle interesujących epizodów, umie wszędzie tak uwydatnić postać bohatera i tyle wlać w swe opowiadanie życia i pietyzmu, że książeczka jego staje się bardzo miłym i wdzięcznym pomnikiem jubileuszowym. Nie są to rzeczy nowe, nieznane, a jednak forma, w jaką ubrał to dzieło p. Pepłowski, nadaje im cechę wyższą niepowszedniości. Nadto pięknie podnosi ona prawdziwe zasługi i wskazuje na owoce wpływu poezyi Adama już we wstępie samym i w zakończeniu, dając przez to dokładną znajomość czytelnikowi powodów onych, dla których naród cały jego pamięć taką otacza czcią.

Mamy tylko jedną uwagę do zrobienia. Książka sposobem pisania i treścią przeznaczoną się być zdaje dla młodzieży, dla mniej przygotowanego czytelnika. Czy te właśnie względy nie nakazywałyby o Towiańskim wyraźniej powiedzieć, kim był i co głosił i jak Mickiewiczowi i sprawie polskiej zaszkodził — bo takie zdanie: „nauka Towiańskiego na pozór zgodna z zasadami kościoła katolickiego i życie ascetyczne niemal, jakie mniemany ów prorok prowadził...“ (str. 50) nie da nieznającym tych stosunków dokładnego pojęcia o Towiańskim. Podobnież te osławione pułki sułtańskich kozaków z odstępcą Czajkowskim na czele zakrawają na małą idyllę; (str. 61), a jednak świadomi stosunków i trzeźwo patrzący na obowiązki katolika-Polaka nie mogą się solidaryzować z renegatami. W najbliższem wydaniu radzimy autorowi miejsca te o tyle objaśnić, by mogły każd mu we właściwem oświetleniu podać istotny stan opowiadanych wydarzeń.

Wydanie to zdobi nadto reprodukcya wcale dobra oblicza Adama i kantata z muzyką ks. Walczyńskiego, poświęconą cieniom wieszcza. W tem uzupełnieniu stanowi publikacya p. Pepłowskiego prawdziwie aktualną książkę o Mickiewiczu i w roku jubileuszowym na uroczystych obchodach do rozszerzania między ludność naszą bardzo się nadaje. *B.*

(Stanisław Schnür-Pepłowski: „Cudzoziemcy w Galicyi“ (1787—1841) 8vo str. 263 Kraków 1898).

Żmudna to musiała być praca, wertować zapomniane i nieznane dziś podróże i relacye obcych ludzi, jacy przed stu laty zwiedzali naszą ziemię. Nie mały to jednak z takiej pracy pożytek — bo w świetle tych sądów o naszym kraju nierzadko uprzedzonych, tendencyjnych, czasami przedmiotowych i wytrawnych poznajemy stosunki przeszłości nie odległej bardzo, ale o której wiadomości bliższych daremnie szukalibyśmy w rodzimych źródłach. To, co autor ciekawego w tych opisach znalazł, a przewertował ich dosyć, z tem podzielić się pragnie z nami w obecnej publikacyi. Na pochwałę wszakże p. Pepłowskiego powiedzieć musimy zaraz na wstępie, iż jako znawca historyi a krytyk doskonały umie odróżnić *„pretiosum a vili“* i podaje tylko to, co ogłoszenia godne, epizody wątpliwej wartości ubliżające stanowi duchownemu, przemilcza stanowczo a we wielu miejscach, gdzie niebiegły w historyi turysta lub nieobznajomiony ze stosunkami lokalnymi urzędnik potknął się zupełnie, prostuje jego relacye i uzupełnia na prawdzie i dokumentach opartemi objaśnieniami.

Nie małą też zasługę ma autor i w tem, że zanim poznajomi nas z pamiętnikami lub opisem nieznanych nam bliżej cudzoziemców, charakteryzuje na wstępie ich osobistość, podaje wiadomości biograficzne odnośnego pisarza i tłumaczy stanowisko, jaki tenże w świecie ówczesnym zajmował. Z tych względów książka zyskuje na wartości i godną się staje czytania.

Z treści przypomnieć warto, że znajdują się w niej bliższe szczegóły historyczne do przeszłości miast naszych ważniejszych, leżących przy głównym trakcie z Krakowa w kierunku wschodnim po Lwów i dalej ku Bukowinie. Szczegóły zaś te odnoszą się nietylko do ogólnych wrażeń, jakich turysta doznaje na widok pomników, świątyń, pałaców... ale malują też i ówczesne towarzyskie życie, zwyczaje, poziom umysłowy, słowem są one przyczynkiem ważnym do dokładniejszego poznania przeszłości, jaką ona była w tem codziennem, nieuchwytnem a przemijającem życiu. Nie pominął czasami turysta niczego, co tylko godnego było uwagi, nierzadko ostra krytyka spotyka ówczesny rząd i jego przedstawicieli. Najczęściej jednak wartość tych wspomnień zawisła od stopnia wykształcenia piszącego i od stanowiska jakie piastował.

Nadto wydawnictwo to zdobi podobizna dawnego sztychu, przedstawiającego widok Lwowa z r. 1772. Całość wydaną jest starannie, tu i ówdzie tylko dostrzeżono małe usterki drukarskich pomyłek, a w przytoczonym pamiętniku Thulliego (str. 261) zapewne przez nieuwagę tylko nie sprostowano w uwadze, że notatka o papieżach za życia Thulliego panujących jest niedokładną co do Klemensa VII i VIII, bo byli to Klemens XIII i XIV. *B.*

Co jest warte nasze ciało?

(Z rozmyślań chemiczno-filozoficznych).

Na zapytanie, z czego się składa człowiek? — usłyszymy naturalnie logiczną odpowiedź: z duszy i ciała. Ale z czego składa się ta materyalna ziemska powłoka, zwana ciałem?

Z mięsa, kości, żył, nerwów, błon etc.

Bardzo dobrze. Jest to podział anatomiczny, ale nam chodzi o skład chemiczny?

Na to pytanie trudno już przeciętnemu czytelnikowi odpowiedzieć, bo składniki chemiczne nie wpadają w oczy tak, jak anatomiczne, a kucharki i rzeźnicy, od których pochodzi wiedza anatomiczna w najpopularniejszej swej postaci, zrozumieliby prędzej zapytanie o składach chemicznych różnych drogistów, aniżeli o składzie chemicznym człowieka.

A jest on przecie niemniej ciekawy od składu anatomicznego i z pewnością więcej nas interesuje od składów wszelkich materyałów chemicznych, ba nawet od złotniczych i perfumeryjnych.

Przedewszystkiem jest on bardzo dziwnym dla człowieka, nie obznajomionego z chemią, a powtóre wzbudza wiele filozoficznych myśli. Według dr. Lankastra, ciało człowieka, ważącego około 170 funtów, składa zię z poniżej wyliczonych związków chemicznych, połączonych w stosunkach mniej więcej następujących:

1) 0 120 funtów wody,
2) 0 16 8 „ żelatyny czyli kleju,
3) 0 9·6 „ związków białkowych,
4) 0 0·4 „ fosforanów i innych,
5) 0 14 4 „ soli mineralnych,
6) 0 14 4 „ tłuszczu.

Jesteśmy tedy, materyalnie biorąc nasze istoty, zlepkiem kleju, białka, soli mineralnych i tłuszczu, kąpiących się do tego jak ryba w wodzie! Ten skład materyału naszej nędznej powłoki ziemskiej, który po dzisiejszych cenach targowych wart jest co najwyżej 50 zł. dużo w głowie powinien rozjaśnić, jeśli się pilnie nad nim zastanowimy. Teraz zrozumiemy odrazu, dlaczego w wielu utworach ludzkich tak mało jest części pożywnych a tak dużo wody (patrz 1).

Pojmujemy także, dlaczego tak łatwo przylegają nietylko ludzie do siebie, ale i nieszczęście do ludzi (patrz 2) oraz dlaczego od żaru szczęścia krzepniemy, jak białko i dlaczego tylu jest ludzi ciężkich do strawienia (3).

Odnajdziemy również źródło zapalności naszej miłości własnej i przyczynę skłonności do podminowywania losu innych. Wiemy już, dlaczego wielu ludzi świeci jak fosfor w ciemności, niegrzejąc, i dlaczego blask ten ginie nawet przy nędznej świeczce łojowej (patrz 4). Spostrzeżemy wreszcie, że tłuste żarty mają u nas podstawę naturalną (5).

Widzisz więc łaskawy czytelniku, że nawet po odłączeniu wszystkich naszych uzdolnień, jak szewstwa, krawiectwa, balwierstwa, talentu pisarskiego, kupieckiego, gospodarskiego, tancerskiego, donżuańskiego, bilardowego itd. coś jesteśmy jeszcze warci dla rolnika, cukiernika, stolarza, że myśmy warci, powiadam, jako materyał surowy, około 50 zł. — ale wtedy tylko, gdy ważymy 170 funtów. A jest ogromna liczba ludzi, którzy daleko mniejszą cieszą się wagą. I tak np. „ciało baletowe“ składa się z nader lekkich istotek, bardzo więc być może, iż wiele z nich odłączywszy formę i uzdolnienie, nie posiada nawet tyle wartości, ile jej mają włókna ich spodniczek, żelazo ich szpilek i złoto kolczyków.

Chyba to jasnem się staje teraz, dlaczego Pismo Św. nam mówi, że prochem jesteśmy. Zaprawdę, gdybyśmy zebrali proch z ulicy i kazali go rozetrzeć w pracowni chemicznej miejskiej, przekonalibyśmy się, że tak proch, jak i związki chemiczne naszego ciała, składają się z węgla, wodoru, tlenu, siarki, fosforu, potasu, sody, żelaza it. d.

Zważmy jeszcze i to, iż pomiędzy wszystkimi tymi pierwiastkami nie ma ani jednego metalu szlachetnego. Gdybyśmy naprzykład zamiast żelaza, sodu, mieli we krwi złoto, to o ileż bylibyśmy więcej warci. Tylko nie wiem, czyby nam dobrze było z taką zmianą. Tak rozpowszechniona teraz bladaczka leczy się żelazem, w powyższym wypadku zaś leczyłaby się zapewne złotem. Łatwo więc przewidzieć, że metal ten miałby jeszcze wyższy, niż obecnie kurs, chociaż ostatnimi czasy złoto nie podlega już takim, jak dawniej, fluktuacyom, ku wielkiemu zmartwieniu giełdziarzy.

Gdyby istotnie zamiast żelaza aplikowano na blednicę złoto, jakby wtedy poszły w górę wszystkie kobiety korpulentne! Bezwątpienia konkurenci na mężów poprzestaliby na mniejszym posagu, gdyby tusza ich bogdanek zapowiadała wielki procent metalu szlachetnego.

Kwestya palenia ciał zmarłych nie byłaby wówczas kwestyą i palonoby wszystkie trupy, a z ich popiołów utrzymywanoby złoto sposobem chemicznym, mężowie zaś i żony jakąby wtedy czułość dla siebie okazywali! Już żaden moralista nie miałby przyczyny mówić, iż w wyborze męża lub żony kierujemy się powierzchownemi zaletami, gdyż każdy wtedyby więcej zważał na wartość realną. Jak naturalne miałoby wówczas znaczenie wyrażenie pieszczotliwe: moje ty złotko! Ba! mówionoby jeszcze może: mój ty funciku złota! a przesadnie: mój cetnarze złota! a może... mój złoty bałwanie! Zagraniczne ogłoszenia poszukujących żon lub mężów niewątpliwie uległyby zmianie: oprócz cyfry posagu, podawanoby także wagę ciała, z której z wielkiem przybliżeniem możnaby obliczyć ilość zawartego w niem złota.

Na polach bitwy nie pozostawianoby wtedy ciał bez ostatniej posługi. Znalazłoby się wielu humanitarnemi uczuciami obdarzonych, którzyby je palili. Jednem słowem, człowiek w oczach bliźnich nabyłby takiej wartości, jakiej teraz nie ma.

Czyby mu z tem dobrze było? O ileżby wzrosła liczba pokuszeń na życie osób głównie korpulentnych? Z jaką niecierpliwością siostrzeńcy wyglądaliby śmierci wujaszków lub cioć, nabierających tuszy przez dobre odżywianie się! Jedna tylko klasa ludzi nie pragnęłaby śmierci bliźnich, jednaby się tylko bała epidemii i usiłowałaby im zapobiegać: klasa bankierów — gdyż powiększenie ilości złota na targu zmniejszałoby jego kurs — ale to jest tylko marzenie.

W człowieku nie ma ani śladu szlachetnych metali, a te, które się w nim znajdują, nie opłacałyby kosztów robót chemicznych, któreby trzeba było przedsięwziąć dla ich wydobycia. Tak więc człek w swych ostatecznych składnikach chemicznych jest tylko kupką prochu, o tyle mającą wartość, o ile forma z niego złożona jest silną, piękną, dobrą, mądrą; o ile jest krawcem, szewcem, cyrulikiem, piwowarem, literatem, ziemianinem, baletniczką, adwokatem, lowelasem, bankierem, muzykiem lub... głupcem, z którego się dobrze uśmiać można.

Zważmy na to wszystko i zapiszmy to w sercu swojem, że mdłe ciało nasze, z jakiejkolwiekby krwi ono pochodziło, ledwie kilka dukatów jest warte i że o tyle tylko szanować nas bliźni będą, o ile umiemy warzyć piwo, szyć buty, tańcować, no... a przedewszystkiem pamiętać o przemijającem znaczeniu ciała, które się w proch rozsypie. Im mniej mu dogadzać będziemy, tem ono zdrowsze, silniejsze, odporniejsze na wszystkie choroby będzie. A o zdrowie mieszkania duszy, chociaż czasowe, powinniśmy się starać w myśl prastarej sentencyi: *mens sana in corpore sano.*

ROZMAITOSCI.

Za stare marki pocztowe, zbierane i sprzedawane przez stowarzyszenie zbierania starych marek w Liège, wzięło ono 40.000 fr. za z górą 200 milionów starych marek. Stowarzyszenie powstało w r. 1890 w St. Trudon, małej mieścinie belgijskiej i zostało przeniesione do wielkiego seminaryum w Liège. Sprzedaż marek trwa ciągle, ceny są wysokie, a dochody osiągnięte ze sprzedaży idą na utrzymanie w Kongu niepodległem dwóch wiosek chrześcijańskich: St. Trudona między Luzambem i Lulnabergiem tudzież St. Lamberta między jeziorami Tanganiką i Albert-Edwardem nad małem jeziorem Kivem na wschodniej granicy Konga belgijskiego. Wieś tę założył mgr. Rodens, wikaryusz apostolski Konga ze zgromadzenia Ojców Białych kardynała Lavigerie.

Temperarura tej krainy jest znośną, życie misyonarza nader ciężkie, lecz nie pozbawione pociech, bo nawrócenia są liczne, a charakter krajowców lepszy, niż innych Murzynów. Jedyne niebezpieczeństwo przedstawiają węże, tygrysy lwy i t. d. które aż do wsi podchodzą. Wieś St. Lambert będzie mogła pomieścić 1.200 osób, kościół 1.000 osób Mgr. Rodens zabrał z sobą 15 misyonarzy. Podróż kosztuje 5000 fr. od osoby, a trwa do 4 miesięcy. Murzyni są życzliwi dla białych czego dowodem jest następujący wypadek: Oficer belgijski, naczelnik oddziału wojska, przeznaczonego do strzeżenia misyonarzy od Arabów handlujących niewolnikami, płynął łodzią po jeziorze. Burza wywróciła łódź, oficer nie umiał pływać, czarni jego wioślarze posadzili go konno na przywróconej łódce i przywiązali do niej w tej pozycyi i to mu uratowało życie. Po burzy odwiązali go, łódź odwrócili w położenie normalne, wsadzili go do łodzi i popłynęli dalej. W czerwcu r. b. będzie założona — zawsze za fundusze pochodzące ze sprzedaży starych marek — trzecia wieś pod wezwaniem S-go Huberta, niedaleko linii kolei idącej z Bomy do Leopoldvillu. Roboty ma prowadzić O. Liagre, jezuita belgijski. Ojciec święty udzielił teraz świeżo swego błogosławieństwa stowarzyszeniu zbierania marek. Utrzymuje ono jeszcze swoim kosztem dwoje czarnych dzieci z Konga w zakładzie św. Ludwika w Gyseghemle, niedaleko Alosa założonym przez księdza Van-Impego, w którym pobiera wychowanie kilkanaście dzieci murzyńskich z Konga.

Rewolucya medyolańska i loterya. Wiadomo, że namiętność do loteryi stara się obracać na swą korzyść wszelkie okoliczności pomyślne, również jak i wrogie. Nie dziw, że do jej kombinacyj posłużyły też ostatnie rozruchy w Medyolanie. Jako szczęśliwe numery wyliczano: 7, 18, 11 i 90 — 7-my, bo w dniu tym wybuchła rewolucya, 18 ty, bo w języku loteryi oznacza krew, 11-ty, bo określa powstanie, wreszcie 90-ty, bo tłómaczy się wielkiem wydarzeniem. Najdziwniejsza, że istotnie te liczby rewolucyjne wyszły w ostatniem ciągnieniu. Pewien czeladnik krawiecki wygrał na nie 100.000 lir. Urząd loteryjny musiał wypłacić niebywałą liczbę amb i tern. Przesąd tym razem zwyciężył, za to minirter skarbu Luzatti załamuje ręce.